

140 lat minęło

JAN NOGAŚ (O/Bielsko-Biała)

Na co komu jubileusz? Żeby się zadumać, że to już tyle lat? Żeby poczuć więź z tymi, którzy zaczęli i zachować o nich pamięć? Żeby poczuć dumę, bo wytrwaliśmy? Nie zaprzepaściliśmy ogromnego dorobku? Porozmawiać, jak może być jeszcze lepiej? Pokazać tych, co są „*primus inter pares*”?

To wszystko było na terenie zawsze przyjaznego Centrum Edukacji Przyrodniczej TPN w Zakopanem w dniach 22–23 czerwca 2013 r. podczas obchodów 140. rocznicy powołania Towarzystwa Tatrzańskiego, pierwszej organizacji turystycznej na ziemiach polskich.

W sobotę wieczorem ci, co już przybyli, spędzili czas w przyjacielskiej atmosferze przy ognisku na terenie Ośrodka. W niedzielę jubileusz rozpoczął się od mszy św. w kościele pw. Świętego Krzyża. Koncelebrował ją nasz kapelan ksiądz Józef Drabik, który w homilii podkreślił dorobek Towarzystwa, życzył tego, co najlepsze, i podkreślił, że to, co robimy, na pewno podoba się Panu Bogu, bo chronimy jego dzieło.

Aby wszyscy zainteresowani wiedzieli, gdzie jest początek dzisiejszych największych polskich organizacji turystycznych, w miejscu, gdzie powstała idea założycielska, na terenie byłego Zwierzyńca, jednego ze współzałożycieli Towarzystwa Tatrzańskiego, odsłonięta została tablica pamiątkowa (*na zdjęciu*). Ufundowali ją: Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, Tatrzański Park Narodowy i Urząd Miasta Zakopane. Miejsce to ma też przypominać kolejnym pokoleniom, kto i gdzie urzeczywistniał idee ochrony przyrody.

Wśród szanownych zaproszonych na jubileusz gości byli między innymi: zastępca burmistrza Zakopanego pan Mikołaj Koperski, kierownik CEP TPN dr Marcin Guzik, kapelan PTT ksiądz Józef Drabik, dyrektor Muzeum Tatrzańskiego pani Anna Wende-Surmiak oraz przedstawiciel Związku Podhalan. Goście, wraz z prezesem ZG PTT Szymonem Baronem, otworzyli w pomieszczeniach Ośrodka wystawę „Jak dawniej

po Tatrach chadzano”. Bardzo ciekawe zdjęcia od początków turystycznej penetracji Tatr, ciekawe, czasami zabawne teksty dawnych poradników i przewodników. Wśród uwag z 1796 roku poświęconych cechom fizycznym i psychicznym, jakie powinien posiadać górski turysta, można przeczytać m.in.: „*najodpowiedniejszy wzrost turysty to 150–165 cm, człowiek wysokiego wzrostu nie nadaje się do wspinaczki, ponieważ rzadko kiedy ma on silne muskuły*”, „*zdecydowanie wyklucza się żonaty mężczyzna (żona woli mniej ryzykować, a jako ojciec dzieci niechętnie naraża się na niebezpieczeństwo)*”. Wreszcie ostatni argument: „*długa i częsta nieobecność męża wystawia kobietę na pokusy i prowadzi do małżeńskiej zdrady*”. Autor tych porad, Balthazar Hacquet, pisząc to, miał 57 lat. Z kolei jak podaje Juliusz Zborowski, w 1796 roku zalecano na lodowcach bardzo przydatne raki na ręce i nogi. Ze ścian patrzą twarze pierwszych przewodników tatrzańskich, działaczy Towarzystwa, turystów, mieszkańców Zakopanego, w gablotach oryginały kolejnych odznak TT, PTT, przewodniki, poradniki. Wystawa warta obejrzenia.

Po oficjalnym powitaniu gości prowadzący obchody jubileuszowe prezes ZG PTT odczytał list od Marszałka

Województwa Małopolskiego Marka Sowy, a zastępca burmistrza pan Koperski w swoim wystąpieniu podkreślił i uświadomił, że historia Zakopanego to właściwie historia PTT, bo jak mówią dokumenty, często cieszyło się ono większym szacunkiem i poważaniem wśród mieszkańców i przyjezdnych niż władze administracyjne. Kolejne wystąpienia gości podkreślały dorobek i znaczenie Towarzystwa w dziejach polskiej turystyki. Na wniosek ZG PTT trzem zasłużonym i aktywnym działaczom zostały przyznane przez Ministerstwo Sportu i Turystyki i wręczone odznaki honorowe „Za zasługi dla turystyki”.

Na sesji poświęconej 140-leciu PTT w czterech wystąpieniach prelegentów: Józefa Durdena, Janusza Machulika, Barbary Morawskiej-Nowak i Tadeusza Kwiatkowskiego została przedstawiona historia Towarzystwa od powstania do chwili obecnej. Przewinęły się nazwiska, daty, zdarzenia świadczące o ogromie pracy działaczy, determinacji w realizacji celów statutowych, które również ulegały modyfikacji i pozytywnych efektach tej działalności, docenianych przez coraz większy krąg społeczeństwa.

W ostatnim wystąpieniu padały pytania, jak powinno działać Towarzystwo w czasach współczesnych, aby cele wytyczone przez założycieli miały swoje miejsce i sens.

Wierzmy, że tak jak w ciągu 140 lat, tak i teraz podołamy. ■



Fot. Jerzy Zieliński (PTT Tarnów)

Zachęcamy do obejrzenia pamiątkowej tablicy oraz zwiedzenia wystaw „Jak dawniej po Tatrach chadzano” i fotograficznej obrazującej naszą obecną działalność (1989–2013) na sali odczytowej w budynku CEP TPN na ul. Chałubińskiego 42 (obie będą czynne co najmniej do końca wakacji) zwłaszcza tych wszystkich, którzy z różnych przyczyn nie mogli być obecni na naszych obchodach w dniach 22–23 czerwca br. w Zakopanem.

Zarząd Główny PTT

SZYMON BARON (O/Bielsko-Biała)

X Posiedzenie ZG PTT w Zakopanem za nami

W sobotę 22 czerwca 2013 r. w Centrum Edukacji Przyrodniczej TPN w Zakopanem odbyło się X Posiedzenie Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego VIII Kadencji. W trakcie obrad omawiano sprawozdania ZG PTT za rok 2012, sprawy wydawnicze oraz nadchodzące wydarzenia: wrześniowe, Ogólnopolskie Spotkanie Oddziałów PTT w Żegiestowie-Zdroju oraz listopadowy sprawozdawczo-wyborczy Zjazd Delegatów PTT.



Fot. Jerzy Zieliński (PTT Tamów)

■ Uczestnicy posiedzenia ZG PTT

SZYMON BARON (O/Bielsko-Biała)

Odbył się Zjazd Delegatów PTT w Zakopanem



Fot. Jerzy Zieliński (PTT Tamów)

W trakcie obrad

W sobotnie popołudnie 22 czerwca 2013 roku w budynku Centrum Edukacji Przyrodniczej Tatrzańskiego Parku Narodowego w Zakopanem odbył się Zjazd Delegatów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, którego celem było zatwierdzenie sprawozdań PTT: merytorycznego i finansowego za rok 2012.

Zjazd otworzył prezes Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Szymon Baron (O/Bielsko-Biała), a prowadzenie obrad zebrani powierzyli Tomaszowi Kwiatkowskiemu (O/Radom) jako przewodniczącemu, natomiast protokołowanie – Barbarze Morawskiej-Nowak (O/Kraków). 53 przybyłych

delegatów wysłuchało sprawozdań PTT przedstawionych przez Szymona Barona i Joannę Król (O/Nowy Sącz).

W imieniu Głównej Komisji Rewizyjnej sprawozdanie przedstawiła Barbara Rapalska (O/Jaworzno), wnosząc o zatwierdzenie przedstawionych sprawozdań, a sprawozdanie Głównego Sądu Koleżeńskiego przedstawił Tomasz Gawlik (O/Ostrowiec Świętokrzyski). Sprawozdanie merytoryczne i finansowe za rok 2012 zostały przyjęte i zatwierdzone przez delegatów jednogłośnie.

Ukazała się bibliografia „Pamiętników PTT”

Informujemy, że ukazała się *Adnotowana bibliografia Pamiętnika Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (tom 1-20)* autorstwa pani Elżbiety Cholewy. Bogate opracowanie o objętości 157 stron jest pozycją, którą każdy czytelnik „Pamiętnika PTT” powinien mieć w swoim księgozbiore. Osoby zainteresowane nabyciem bibliografii prosimy o kontakt z Barbarą Morawską-Nowak (e-mail: morawska@ptt.org.pl). Cena książki to jedynie 20 zł.

REDAKCJA



Wyróżnieni przez Ministra

Podczas obchodów 140. rocznicy powołania PTT trzech członków naszego Towarzystwa: Krzysztof Karbowski (O/Dęblin), Jan Nogaś (O/Bielsko-Biała) i Jerzy Zieliński (O/Tarnów) zostało uhonorowanych odznaką honorową „Za zasługi dla turystyki”. Odznaczenia przyznane przez Ministerstwo Sportu i Turystyki zostały wręczone przez Zastępcę Prezydenta Zakopanego, Pana Mikołaja Koperskiego. W imieniu Zarządu Głównego serdecznie gratuluję Kolegom! ■

Od lewej: K. Karbowski, J. Nogaś i J. Zieliński



Fot. Nikodem Fródyma (PTT Kraków)

BARBARA MORAWSKA-NOWAK
(O/Kraków)

II Forum Współpracy na rzecz Natura 2000

W zastępstwie Niny Mikołajczyk w dniu 5 lipca 2013 roku wzięłam udział w II Forum Współpracy na rzecz obszarów Natura 2000 zorganizowanym w Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Ministerstwie Środowiska w Warszawie. Program był kontynuacją I Forum, przybyło kilka nowych członków, którym wręczono powołania: Są to:

1. Stowarzyszenie „Pro Carpathia” z Rzeszowa,
2. Stowarzyszenie „Partnerstwo dla Krajny i Pałuk” z Nakła nad Notecią,
3. Polskie Towarzystwo Przyjaciół Przyrody „pro Natura” z Wrocławia,
4. Fundacja Zielone Płuca Polski z Białegostoku.

Docelowo organizatorzy zakładają udział 30 organizacji pozarządowych, po tym Forum jest ich już 10. Zazartowałam, że może kolejnym razem będzie trzeba dostawiać stoły. Na moje pytanie, czemu tych organizacji jest tak mało, pani Małgorzata Szalast-Piwińska stwierdziła, że wiele organizacji nie spełniło stawianych im wymagań. Inne może nie wykazały zainteresowania.

Omówione zostały założenia współpracy, a następnie zaprezentowano 5 wybranych obszarów Natura 2000, które są przedmiotem projektu realizowanego w latach 2013–2015. Są to tereny:

- Puszczy Białowieskiej, obejmujące 7 gmin woj. podlaskiego,
- Doliny Noteci i Kanału Bydgoskiego – 15 gmin woj. wielkopolskiego i kujawsko-pomorskiego,

- Beskidu Wyspowego (ze względu na nietoperze!) – 12 gmin woj. małopolskiego,
- Przełomu Wisły w Małopolsce – 15 gmin woj. kieleckiego, lubelskiego i mazowieckiego,
- Bieszczady – 7 gmin woj. podkarpackiego.

Przedstawiono wyniki przeprowadzonych już wstępnych ankiet dotyczących odbioru obszarów naturalnych przez samorządy i mieszkańców. Obszary te są na ogół negatywnie odbierane, jako hamulec rozwoju gospodarczego, jakkolwiek odbiór jest zróżnicowany. Nasze działania, tj. organizacji pozarządowych, mają pomóc w zmianie tego stanowiska. Z wypowiedzi niektórych przedstawicieli, np. lokalnych organizacji „Partnerstwo dla Krajny i Pałuk” z siedzibą Nakło nad Notecią czy też „Stowarzyszenie pro Carpathia” działające na rzecz Bieszczad, wynikało, że już podejmują rozmaite działania promocyjne lub są dobrze zorientowane w problemach. Nie mogłam tego powiedzieć o PTT. Jednak na zapytanie – dlaczego my właśnie, dowiedziałam się, że uchodzimy za autorytet w problematyce ochrony przyrody. Czy to jednak wystarczy?

Po zorientowaniu się w czym rzecz, proponowałabym, aby nasze oddziały nawiązały kontakt z organizacjami działającymi już na wybranych obszarach i wspomogły ich działania.

Według mnie nawet bardziej niż inne oddziały, jak Dęblin czy Ostrowiec Świętokrzyski, mogą działać w obszarze Przełomu Wisły, a oddziały w Nowym Sączu czy Mielcu przykładowo – w obszarze bieszczadzki (np. gminy Komańcza i Cisna), gdzie zagrożenia dotyczą nadmiernej urbanizacji i braku kanalizacji. Tutaj, jak mówił reprezentant Stowarzyszenia pro Car-

patia, gminy są biedne i potrzebują wsparcia z zewnątrz (np. odnośnie do przeprowadzenia kanalizacji). Osobiście przypominałam, że już śp. dr Jerzy Sawicki, koordynator Koalicji „Ratujmy Karpaty”, optował za potrzebą rekompensat ekologicznych dla ludności żyjącej na terenach chronionych. Odnośnie do obszaru „Beskid Wyspowy:” gdzie to właściwie stare kościółki są ostoją dla nietoperzy, zachęcam do współpracy przykładowo oddział tarnowski, a także nowosądecki.

W obszarze „Przełom Wisły”, będącym obszarem ptasim, gdzie bardzo często są powodzie, za które obwiniane były w roku 2010 bobry i ekolodzy, ważna jest sprawa zmiany poglądów odnośnie do realizowanych regulacji rzek.

Dlatego w ramach projektu przewidziane są cztery wizyty studyjne do krajów Unii, gdzie już zmieniono podejście w tej sprawie, np. regulacji Renu. Wizyty studyjne mają być czterodniowe, dla 15 uczestników; GDOŚ finansować będzie przeloty lotnicze, dwa noclegi, wyżywienie, ubezpieczenie, ew. przejazdy na miejscu i materiały wyjazdowe.

Proponuje się rozmaite działania promocyjne: konkurs fotograficzny prezentujący obszary naturalne objęte projektem czy udział w Festiwalu Filmów Przyrodniczych im. W. Puchalskiego w Łodzi (tu wydaje mi się, że członkowie PTT mogą mieć pole do popisu, niezłych fotografów czy filmowców mamy sporo). Ponadto udział w organizacji i obsłudze targów 2014, w imprezach promocyjnych na obszarach Natura 2000 czy w organizowanych na ich terenach obradach okrągłego stołu. Polecamy odwiedzenie strony internetowej GDOŚ „Poznaj swoją naturę”, na której można znaleźć informacje o dalszych działaniach forum.

Zachęcam zatem do zaangażowania się w akcje promowania obszarów Na-

tura 2000, bo sam udział Niny lub mój, mimo miłej atmosfery spotkań i dobrego,

smacznego poczęstunku przy okazji, nie wystarczy. ■

Z życia Oddziałów

REMIGIUSZ LICHOTA (O/Chrzanów)

Nowe Szkolne Koło PTT w Myślachowicach

W dniu 21 czerwca 2013 r. Zarząd Oddziału PTT w Chrzanowie powołał Szkolne Koło Krajoznawcze PTT przy Szkole Podstawowej w Myślachowicach, w którego skład w dniu założenia weszło 29 osób, w tym 20 uczniów. W skład Zarządu SKK PTT w Myślachowicach wybrano Małgorzatę Wojtkowską – dyrektor miejscowego Domu Kultury (prezes), Katarzynę Kaczarę (sekretarz) i Jolantę Muskałę – dyrektor SP (skarbnik).

Uczniom z SKK PTT w Myślachowicach i ich opiekunom życzymy wielu udanych wycieczek i samych sukcesów, a kolegom z chrzanowskiego Oddziału PTT gratulujemy powołania kolejnego Szkolnego Koła PTT. ■

Pamiątkowe zdjęcie uczestników spotkania założycielskiego ►



Fot. archiwum (PTT Chrzanów)

Zmarł Jan Krajewski z Oddziału PTT w Nowym Sączu

9 lipca 2013 r. zginął tragicznie Jan Krajewski (został potrącony przez samochód, gdy jechał na rowerze w Nowym Sączu). Miał 70 lat. Z wykształcenia był geografem, a z zamiłowania turystą górskim, bardzo dobrze znającym Karpaty.

Do Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego wstąpił w 1994 r. i był bardzo aktywnym członkiem nowosądeckiego

Oddziału Beskid, m.in. przez dwie kadencje był członkiem zarządu Oddziału, prowadził społecznie wycieczki organizowane dla mieszkańców Nowego Sącza, brał udział w wyprawach Sekcji Wysokogórskiej. Był również członkiem Głównego Sądu Koleżeńskiego PTT. Za swoją działalność został wyróżniony Złotą Odznaką PTT z Kosówką, a przez ministra sportu odznaką „Za Zasługi dla Turystyki”.

– Był wspaniałym kolegą i bardzo dobrym człowiekiem – wspomina Zmarłego Maciej Zaremba, honorowy prezes PTT O/Beskid Nowy Sącz.

„Tyle w nim było życia, radości i werwy, kiedy jeszcze w sobotę i niedzielę przemierzał z nami Bieszczady... Wierzymy, że teraz kroczy już po Niebieskich połoninach i zapytany jak mu tam, odpowiedziałby tak jak na ostatniej wycieczce „Super jest!”. Tylko nam będzie tęskno...” – czytamy na stronie nowosądeckiego oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Pogrzeb śp. Jana Krajewskiego odbył się w sobotę 13 lipca na cmentarzu przy ul. Rejtana w Nowym Sączu. ■

źródło: www.sadeczanin.info



Ze smutkiem informujemy, że dnia 9.07.2013 r. odszedł tragicznie z naszego grona

Śp.

Jan Krajewski

Członek Sądu Koleżeńskiego Zarządu Głównego PTT,
odznaczony przez Ministra Sportu odznaką „Zasłużony dla Turystyki”
oraz „Złotą Odznaką PTT z Kosówką”
wspaniały kolega dla którego góry były wielką pasją.

Jaśku zawsze będziesz w sercach i pamięci naszej.

Zarząd oraz Koleżanki i Koledzy
Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego o/Beskid w Nowym Sączu



Bielszczanie nawiązali współpracę z turystami z Czech



Fot. archiwum (PTT Bielsko-Biała)



Oddział PTT w Bielsku-Białej jako kolejny oddział naszego Towarzystwa nawiązał współpracę z organizacją turystyczną z południowej granicy.

Z inicjatywy członka Oddziału Dariusza Kojdera w dniu 27 czerwca 2013 roku bielszczanie nawiązali współpracę z sekcją turystyczną TJ Slavoj Český Těšín. Podczas spotkania z prezesem sekcji Petrem Friedrichem, które odbyło się w Czeskim Cieszynie, czworo członków Oddziału PTT w Bielsku-Białej odebrało zweryfikowane odznaki „Těšínský Turista” i „Těšínský Turista 2”, a także książeczki do zdobywania kolejnej odznaki opracowanej przez kolegów z Czech – „Těšínské tisícovky”. Wymieniono się także materiałami i informacjami na temat naszych organizacji oraz omówiono plany tegorocznych wycieczek, a propozycje tych, w których mogliby wziąć wspólnie udział turyści polscy i czescy, można już znaleźć na stronach internetowych obu organizacji. ■

◀ Uczestnicy spotkania w Czeskim Cieszynie

Obchody 140-lecia TT-PTT - Zakopane, 22-23 czerwca 2013

Fot. Jerzy Zieliński (PTT Tarnów)



Odświeżenie pamiątkowej tablicy



Montaż wystawy zdjęć z działalności PTT

Fot. Jerzy Zieliński (PTT Tarnów)

Fot. Jerzy Zieliński (PTT Tarnów)



Sesja popularnonaukowa

Fot. Jerzy Zieliński (PTT Tarnów)



Poczet sztandarowy PTT

Fot. Jerzy Zieliński (PTT Tarnów)



Wieczorne ognisko

Arches - Łuki Skalne

NINA MIKOŁAJCZYK (O/Łódź)

Park Narodowy Łuków Skalnych (ang. Arches National Park) położony jest we wschodniej części stanu Utah w pobliżu miasta Moab na powierzchni północno-wschodniego fragmentu Płaskowyżu Kolorado, zajmując obszar 309 km². Jest to niewątpliwie jeden z najpiękniejszych zakątków amerykańskiego Dzikiego Zachodu. O pozycji tego Parku decyduje nie spotykana nigdzie w świecie unikalność krajobrazu wynikająca z kształtów skał oraz ich bajecznych kolorów. Obszar ten zdobi ponad 1800 kamiennych, naturalnych łuków, okien, bram i wież. Oprócz nich iglice, sterczyny, żebra, grzyby i inne zdumiewające formy skalne z czerwonego i żółtego piaskowca (Nawajo i Entrada). Za fenomeny przyrody eksponowane w Arches odpowiedzialne są ekstremalne temperatury, woda, lód i ruchy podziemnej soli wpływające na pękanie i tasowanie leżących na powierzchni piaskowców. To solne podłoże powstało 300 milionów lat temu jako pozostałość po wyparowaniu morza znajdującego się w tym rejonie. W późniejszym okresie skały przykryły warstwę soli. Tego typu procesy geologiczne zachodzą w Arches od ponad 150 milionów lat. Pod ogromnym ciśnieniem piaskowców podziemna sól staje się ciałem plastycznym, podlega dyslokacji, pionowym i poziomym przemieszczeniom, co prowadzi do powstawania głębokich, równoległych spękań w grubych (do kilkuset metrów) warstwach piaskowca. W wyniku procesów erozji i wietrzenia poszerzających te szczeliny następuje wykształcenie murów skalnych. Procesy wietrzenia mrozowego powodują łuszczenie i wykruszanie się płytek rozwarstwowanego piaskowca. Jeśli wietrzenie to przebiega z większą intensywnością u podstawy muru, powstają nieckowate zagłębienia, które z czasem mogą przekształcić się w okno skalne, a przy sprzyjających warunkach w łuk skalny. Stąd takie niewiarygodne zróżnicowanie i bogactwo form na powierzchni. Tajemnica powstania słynnych łuków i okien tkwi więc głęboko pod ziemią. Pod względem atrakcyjności wyróżniają się: Wieże Sądu (Courthouse Towers), Fierne Piece (Furnace - laboratoryjne skalne, Okna (Windows) i Diabelski Ogród (Devils Garden). Do tego - jak rodzynek w cieście - dochodzi fenomenalny Delikatny Łuk (Delicate Arch).

Decyzją prezydenta Stanów Zjednoczonych Herberta Hoovera z 12 kwietnia 1929 roku część obecnych terenów parku została objęta ochroną jako pomnik narodowy pod nazwą Arches National Monument. Kongres Stanów Zjednoczonych podniósł jego rangę do parku narodowe-

go ustawą z 12 listopada 1971 roku. Mimo że to najgorętszy park w stanie Utah, średnia roczna liczba odwiedzających wynosi ponad 750 tys. Klimat niby umiarkowany, ale letnie temperatury w ciągu dnia mogą osiągnąć 110°F (43°C), a średnie roczne opady tylko 250 mm. Praktycznie bez żadnej zieleni i cienia, jednak... Zewnętrzna warstwa gleby pokrywająca tę pustynię jest wyjątkowa. Składa się ona z bakterii, porostów, alg i grzybnii. Chroni ona przed erozją, pochłania wilgoć i działa jak nawóz. Bez tej zewnętrznej warstwy gleby wiele większych roślin nie jest w stanie przetrwać. Szatę roślinną stanowią skąpe zbiorowiska krzewiaste i trawy. Gdy tylko są warunki, kwiaty kwitną obficie od kwietnia do lipca. Występują również ssaki aktywne w nocy, jak mulaki, lisy lub częściej króliki, szczury i inne gryzonie oraz małe gady, a także ptaki wędrownie i górskie, jak złote orły.

Na terenie dzisiejszego parku narodowego od tysięcy lat zamieszkiwali Indianie Anasazi, pozostawiając po sobie ślady w postaci tajemniczych rytów naskalnych. Pod koniec XIX wieku pierwsi biali dotarli na ten teren w poszukiwaniu minerałów i kruszców. Suchy klimat, niewiele ziemi nadającej się do uprawy czy też hodowli oraz brak cennych surowców sprawiły, że teren Arches uchronił się przed intensywnym rozwojem.

Naturalny łuk skalny ujrzelśmy najpierw w południowo-wschodniej części Utah przy drodze nr 191, 24 mile na południe od Moab. To pomnik przyrody, piaskowcowy Wilson Arch - Łuk Wilsona, znajdujący się w wysokim murze skalnym, sięgającym 6150 stóp (1874,5 m) z oknem o rozpiętości 91 stóp (27,75 m) i wysokości 46 stóp (14 m). Powstał on w podobny sposób jak łuki opisane powyżej. Nazwano go imieniem Joe Wilsona, lokalnego pioniera, który osiedlił się w pobliżu w Suchej Dolinie. Oczywiście wdrapaliśmy się na skalne okno i w zachodzącym słońcu oglądaliśmy wspaniałą panoramę okolicznych skał oraz na rozrzucone po ogromnym, pustynnym terenie indiańskie siedziby.

Następnego dnia, podjechawszy pod parkowe centrum informacyjne Arches, pierwsze łuki ujrzelśmy jako ekspozycję w budynku, prawie jak żywe. Zaopatrzywszy się w foldery, ruszyliśmy w teren, fotografując z samochodu lub zatrzymując się przy co bardziej interesujących obiektach skalnych, jak Courthouse Towers (Wieże Sądu) - ostańce w kształcie smukłych wież o niezwykle fantastycznych kształtach, nierzadko kojarzonych z kobietami. Pierwszą krótką wycieczkę odbyliśmy wokół wybitnie oryginalnego ostańca Balanced Rock (balanced - utrzymujący równowagę), po czym udaliśmy się na miejsce, skąd zaczyna się 4,8-kilometrowy szlak do najpiękniejszego łuku Delicate Arch. Prowadzi on koło zabytkowej chaty

weterana wojny secesyjnej Johna Wesleya Wolfe i jego syna Freda, którzy osiedlili się tu w końcowych latach XVIII w. Wyblakły drewniany domek, piwnica i corral składały się na prymitywne ranczo, eksploatowane przez ponad 20 lat. Niedaleko jest też stanowisko dawnych indiańskich rytów naskalnych. Dalej szlak prowadzi otwartym terenem w górę po jednolitej rozległej skale, mija wiele progów skalnych, przy końcu dopiero między skałami, w których widać mniejsze i większe okna skalne lub nisze, z których w przyszłości takie okna powstaną. Wreszcie idąc skrajem wysokiej skały, wychodzimy z jedyne-go po drodze cienia i widzimy poniżej na rozległej pościeli skalnej tę pocztówkową piękność - Delicate Arch. To niesamowite widzieć go w naturze. Nieważne, że gorąco doskwiera (ponad 40°C), sucho w gardle, wszyscy fotografowali i fotografowali. Po dłuższym posiedzeniu udaliśmy się z powrotem tym samym niestety szlakiem. Następnie podjechaliśmy na parking u ujścia Doliny Diabelskiego Ogrodu (Devils Garden). Tu grupa się bardzo rozsypała. Dotarłam sama pod najdłuższy łuk - Landscape Arch o rozpiętości 89 m. Łuk jest bardzo „szczupły” w porównaniu z Wilson Arch. Ale miał poważne ubytki, bo często zmiany erozyjne występują dramatycznie. W 1991 roku z wysokości 306 stóp od spodu łuku odpadła płyta 60 stóp długości i 11 stóp szerokości o wadze 180 t, co go bardzo „odchudziło”. Od tamtej pory szlak pod Landscape jest zamknięty i nie wolno pod niego podchodzić. Ten łuk nie ma tak pięknej ekspozycji jak Delicate, bo ma za sobą ściany skalne, ale jego długość jest imponująca. Po wykonaniu zdjęć popędziłam dalej, zobaczywszy kolegę Mirka, wspinającego się na ogromne bloki skalne, zalegające wysoko w górę pnące się wąwozy o jeszcze wyższych skalnych ścianach. Wysoko po lewej stronie wąwozu widać było okna skalne łuków Partition i Navajo. Po pokonaniu wznie-sień udaliśmy się dalej w pięknej scenerii różnokształtnych skał Diabelskiego Ogrodu w poszukiwaniu podwójnego łuku (Double O Arch), który wg podanych nam informacji miał być tuż, tuż. Po kilku kilometrach z powodu oznaczonej godziny powrotu z żalem zawróciliśmy. W pobliżu wąwozu spotkaliśmy dopiero idących do łuku koleżankę Jołę z naszym kierow-nikiem, Pawłem, który stwierdził, że po prostu nie potrafiliśmy znaleźć tego podwójnego, a jest blisko. Więc znów pow-drowaliśmy tą samą drogą i jeszcze parę kilometrów dalej. Dawno skończył mi się zapas picia, pozostały jeszcze z poprzed-niej wycieczki do Delicate (w ostrzeże-niach podawano co najmniej jeden galon (4 litry) wody dziennie na osobę, bo wy-soka temperatura i odwodnienie mogą być śmiertelne), a tu łuku nie widać. W końcu jednak doszliśmy. Popatrzyliśmy na niego

już tylko z sąsiedniej „grobli”, bo dojście pod łuk wymagało jeszcze około kilometrów drogi w dół.

Po dokładnym zapoznaniu się z folde-rem okazało się, że odległość z parkingu do łuku wynosiła około 7 km. Powrót w 40-stopniowym upale, bez szansy cienia nie należał do najmielszych. W tym czasie z parkingu karetki pogotowia zabierały zasłabniętych amatorów upalnych spacerów. Na szczęście na tej pustyni zmyślni Amerykanie zrobili studnię na parkingu, z której woda uratowała nam życie. Po tym cudownym orzeźwieniu

mieliśmy jeszcze siłę pobuszo-wać po interesujących oknach skalnych (Windows – North and South) oraz bardzo pociągającym Turret Arch. Zakończyliśmy zwiedzanie krótkim postojem na Park Avenue, gdzie rzędy wysokich skał przypominają 5 Avenue w Nowym Yorku. Krótki wniosek z tej wycieczki to, że jednak woda na pustyni jest bardzo pożądana... w plecaku. ■

Landscape Arch ►



Fot. Nina Mikolajczyk

Dalszy ciąg czarnej passy w himalaizmie polskim

BARBARA MORAWSKA-NOWAK (O/Kraków)

Jeszcze nie ogłoszono raportu na temat wyprawy na Broad Peak, a już mamy kolejną ofiarę gór najwyższych. **Nie żyje Artur Hajzer, twórca programu „Polski Himalaizm Zimowy 2010-2015”.**

Z Karakorum doszły tragiczne wieści. 7 lipca 2013 roku Artur Hajzer zginął w zejściu z Gasherbruma I. W niedzielę 7 lipca razem z Marcinem Kaczką wyruszyli z obozu III na Gasherbrun I (8068 m). Z powodu silnego wiatru przezwali atak i wycofywali się z wysokości 7600 m. Schodzili w dół kuluarem japońskim. Pogoda pogarszała się, stracili ze sobą kontakt. Początkowo wieści były sprzeczne. To Artur Hajzer wysłał do żony SMS-a, że Marcin spadł i zginął. To był ostatni kontakt z Arturem, który zaniepokojony o los partnera pewnie przyspieszył zejście, tracąc nad sobą kontrolę.

Dopiero prasa z 11 lipca podała prawdziwy przebieg wydarzeń. Marcin, schodząc bądź zjeżdżając kuluarem, w pewnym momencie zobaczył spadające ciało. Gdy doszedł do końca kuluaru, rozpoznał Artura. Już nie żył. Było to 15–20 minut drogi od obozu II.

Osobiście nie znałam Artura Hajzera, ale zapamiętałam go jako tego, który po tragedii w 1989 roku, gdy na przełęczy Lho la zginęło w lawinie pięciu naszych himalaistów, zorganizował wyprawę ratunkową po jedyne ocalałego, Andrzeja Marciniaka, który poturbowany i oślepiony nie był w stanie sam zejść.

Artur Hajzer miał 51 lat, ukończył kulturoznawstwo na Uniwersytecie Śląskim, zawodowo zajmował się dziennikarstwem, pisarstwem (napisał dwie książki) i filmem górskim.

Zaczął się wspinać jako czternastolatek, w 1978 roku ukończył kurs taternicki, w latach 1979–1982 wspinał się w Alpach Julijskich, na Spitzbergenie, w Alpach i w Pirenejach. Pierwszy raz był na wyprawie w Himalajach w 1982 roku. W 1983

roku z Rafałem Chołdą zdobył najwyższy szczyt Hindukuszu – Tirich Mir 7706 m (pierwsze polskie i jak dotąd jedyne wejście). Znowu osiągnięcia w Tatrach i Alpach. W 1984 roku ukończył kurs na instruktora wspinaczki PZA. Od 1985 roku brał udział w kolejnych wyprawach himalajskich, w tym z Jerzym Kukuczka – pierwsze zimowe wejścia na Annapurnę (1986/1987), nowe drogi na Manaslu (1986), na Sziszapangmę (1987) i na Annapurnę Wschodnią (1988). Bardzo przeżył śmierć zdobywczy korony Himalajów, swego idola i przyjaciela – Jerzego Kukuczki w październiku 1989 roku.

Po tym wydarzeniu nastąpiła piętnastoletnia przerwa w wyprawach himalajskich Hajzera. Zajął się produkcją odzieży i sprzętu górskiego; z Januszem Majerem założyli firmę Alpinus, a potem – HiMountain. W Himalaje wrócił w roku 2005, wówczas na Broad Peak, na wysokości 8000 m upadł i złamał nogę. Już w 2006 roku wszedł na Ama Dablam (6826 m), a w 2008 roku – na Dhaulagiri (8167 m). W tymże roku omal nie zginął w lawinie w Tatrach. W 2010 roku wszedł na Nanga Parbat (8126 m). Łącznie zdobył sześć ośmiotysięczników.

Dojrzała w nim myśl – Polacy winni dokonać zimowych wejść na wszystkie niezdojbyte dotychczas ośmiotysięczniki. W tym celu należy wychować nową kadrę himalaistów. Tak zrodził się program „Polski Himalaizm Zimowy 2010–2015”. Pozyskał dla programu sponsorów i patronat prezydenta Bronisława Komorowskiego, zainteresował nim media. Wieloma wyprawami sam kierował, jak zimową wyprawą na Broad Peak, na której osiągnięto 7800 m (2010/2011), na Makalu 8485 m (2011), wyprawą na Gasherbrum I 8080 m, która dokonała pierwszego zimowego wejścia (2011/12), i wyprawą na Lhotse, na której osiągnięto 8250 m (2012). Za sukces zimowy



wyprawy na Gasherbrum został odznaczony przez Prezydenta RP Złotym Krzyżem Zasługi.

(O Arturze Hajzerze i jego osiągnięciach wiele można znaleźć w Internecie. Osobiście pisząc jego górski życiorys, oparłam się na portalu Janusza Kurczaba – wspinalanie.pl).

Zgodnie z wolą rodziny w środę 17 lipca ciało Artura Hajzera zostało pochowane w lodowej szczelinie pod szczytem Gasherbruma I. Nad przebiegiem ceremonii czuwał Marcin Kaczka.

Msze św. w intencji Artura odbyły się w Warszawie i w Katowicach. Miejsce po tragedii, 7 sierpnia, na stadionie w Chorzowie zorganizowany był nocny bieg na dystansie 7 km dla uczczenia pamięci Artura Hajzera i zdobycia przez niego siedmiu ośmiotysięczników (bliższe informacje na www.pza.or.pl).

Równocześnie kończy się wyprawa Jacka Berbeki. Odnalezionym himalaistą okazał się Tomasz Kowalski, którego zwłoki znalezione na wysokości 7900 m pochował zespół Jacka Berbeki. Nie udało się natomiast odnaleźć ciała Macieja Berbeki (info: Dz. Pol. 18.07.2013). ■

Wokół Manaslu

IRENA i STEFAN SYTNIOWSCY
(O/Opole)

W dniach 10-27 kwietnia 2013 r. Stefan i Irena Sytniewscy, członkowie Oddziału PTT w Opolu, wzięli udział w wyprawie do Nepalu i przeszli szlak wokół Manaslu. Manaslu (8163 m n.p.m.) jest ósmym co do wysokości szczytem Ziemi. Został on zdobyty w maju 1956 r. przez czwórkę Japończyków. Pierwszego wejścia zimowego dokonali w 1984 r. Maciej Berbek i Ryszard Gajewski.

10 kwietnia rano lecimy z Pyrzowic do Frankfurtu. Tu 7 godz. czekamy na przesiadkę. Przez megafony słyszymy, że nasza grupa z Katowic ma się zgłosić wcześniej do właściwego gate'u z bagażem podręcznym, do którego przyczepiają nam żółte paski. Od razu nam się nasuwa głoszna w tym czasie kampania prasowa o nagannym zachowaniu się Polaków na liniach katarskich. „Znaczą” sobie Polaków – pomyśleliśmy. Potem jednak podobnie traktują innych pasażerów, lecących do Kataru. Okazało się, że żółty kolor paska to kolor terminalu w stolicy Kataru – Doha, na którym należy wysiąść z autobusu przewożącego nas z samolotu do terminala przesiadkowego(!). W samolocie Qatar Airways do Doha stewardessy ładnie ubrane w jednakowe stroje i biżuterię. Podobno i perfumy mają identyczne. W samolocie jest info o aktualnym położeniu samolotu, odległościach, czasie przelotu, wysokości lotu, temperaturze na zewnątrz i prędkości samolotu. Najważniejsza jest tu jednak dla mułomanów informacja o aktualnym kierunku i odległości od Mekki. Na pokładzie bardzo sprawną obsługę, dobre posiłki i dużo miejsca, bo samolot wypełniony poniżej 50%. Pełna wygodność. Kto chce, śpi na leżąco. Lecimy 6 godzin. Po wylądowaniu na lotnisku w Doha na zewnątrz upał, w autobusie przesadnie zimno (widocznie i to ma być oznaką luksusu). Tu czekamy ponad 10 godzin. Jest się czemu przyglądać. Mnóstwo sklepów i lokali gastronomicznych. Wystawa luksusowych samochodów. Mieszanka narodowości. Barwne stroje hinduskich kobiet, na czarno ubrane mułmańskie panie (niektórym widać tylko oczy). Taką zakwestionowaną żonę jeden z panów posadził w lotniskowej restauracji przy ścianie (nie na środku), aby w jego towarzystwie mogła coś zjeść w ściśle określony sposób. Od strony ściany lekko odchyliła swój strój

w okolicach twarzy na tyle, aby mogła coś niewielkiego wsunąć do ust i jednocześnie nie być obiektem pożądania innych panów. Miejscowi mężczyźni paradują w białych zwojach materiału z białymi turbanami na głowie, przeróżnie skróconymi. Nasze panie zastanawiają się, czy pod tym strojem mają oni przynajmniej bieliznę. Inne nacje w naszej okolicy to podróżni z Izraela, z czarnej Afryki i z Iranu. Bardzo czysto. Służby, rekrutowane z biednej Azji, sprzątają, nawet gdy nie ma co sprzątać. Klimatyzacja działa (na zewnątrz upał). 11 kwietnia pokonujemy trzeci odcinek naszej lotniczej podróży z Doha do Kathmandu, który trwa 5 godzin. Podoba nam się bardzo łagodne lądowanie, również dużych samolotów. Odprawa na lotnisku dosyć sprawna. Wklejają nam wizę do paszportu i wychodzimy z terminala. Czekają na nas nepalski organizator naszej wyprawy z kierowcą busa. Witają nas i zakładają nam wieńce kwiatów na szyję. Lądujemy w hotelu „Norbulinka” na Thamelu (dzielnica Kathmandu). Tam spotykamy się z pozostałymi uczestnikami wyprawy, którzy wcześniej przylecieli inną trasą. Dowiadujemy się od nich, że nasz nepalski organizator Nima (trzy lata temu zorganizował nam trekking trasą wokół Annapurny [relacja w „Co Słysać?” 7–8/2010]), tym razem się nie spisał. Stwierdził, że się pomylił i podał nam mailem zbyt mały koszt wyprawy. Teraz określił „rzeczywisty” koszt na 1 uczestnika na prawie 2,2 tys. \$ (tak bywa w Azji). Straciliśmy zaufanie do Nimy i nawet po długich negocjacjach, gdy cena znacznie zmalała, tylko mniej niż połowa uczestników skłonna była zaufać Nimie i uczestniczyć w wyprawie na wynegocjowanych warunkach. Negocjacje nie mogły więc zakończyć się pozytywnie. Pozostał nam jedynie do zapłacenia rachunek za hotel 65\$/1 noc/2 osoby. Następnego dnia przenosimy się do innego hotelu przy klasztorze buddyjskim za 5\$/os. Burza mózgów, co robić dalej. Idziemy do pierwszego z brzegu biura podróży. Miła obsługa. Szybko liczą, za ile nam mogą zorganizować taką samą wyprawę. Wychodzi im, że za 490\$/os bez naszego jedzenia i noclegów. Na to trzeba zarezerwować dodatkowo min. 250\$. Całkowity koszt jest więc tu trzykrotnie niższy, niż się zamarzyło Nimie. Dziesiątka z naszej dwunastki uczestników wchodzi w ten układ. Nowy organizator załatwia stosowne zgody na naszą wyprawę. Znajduje dwóch przewodników. Nasze główne bagaże ma nosić 5 tragarzy. Wszystkie zgody udało się załatwić. Wymieniamy pieniądze, bo na trasie nie ma żadnych kantorów ani bankomatów. Robimy ostatnie zakupy na drogę i kolejnego dnia jedziemy do Arughat Bazar (608 m n.p.m.). Czekają nas 6 godz. jazdy. Duży ruch. Przeładowane ciężarówki. Wy-

przedzają na zakrętach, uprzedzając manewr klaksonem. Widzimy stado kóz transportowane na dachu ciężarówki. Za chwilę mija nas ciężarówka bez przedniej szyby, a pod naszym autobusem coś trze. Urywa się zaczep zbiornika z paliwem. Niezrażeni tym kierowca i jego pomocnik podnoszą zbiornik podnośnikiem, podkładają pod niego kamienie. Podwiązują go na linkach alpinistycznych, które poza drutem i innymi najpotrzebniejszymi rzeczami zawsze mają ze sobą. Pozwala to na dojechanie do celu bez innych atrakcji, pomimo tego że końcowy odcinek drogi był mocno wyboisty. W pojazdach przewożących ludzi poza kierowcą jest zawsze pomocnik. Jego rolą jest naganianie potencjalnych pasażerów w trakcie jazdy, gdy kierowca zwolni w miejscu wsiadania. Ponadto kasowanie opłat za przejazd, pomoc kierowcy przy wymijaniu na wąskich drogach (porozumiewa się z kierowcą systemem gwizdów i stuknięć w karoserię), a także w trakcie jazdy wchodzenie na dach pojazdu w celu stwierdzenia poprawności zabezpieczenia bagażu na dachu. Pod koniec jazdy mamy drogę coraz węższą. Mijanki ekstremalne. Dojeżdżamy do Arughat Bazar (608 m n.p.m.). Tu był planowany nocleg. Kończy zasięg naszych komórek. Jesteśmy tu wcześniej, więc na nepalskie hasło brzmiące „dziam dziam” idziemy jeszcze 6 km do Arkhet Bazar (620 m n.p.m.). Trasa malownicza wzdłuż rzeki Budhi Gandaki. Kolorowo ubrane Hinduski, ładne dzieci, chętnie pozujące do zdjęć. Pola tarasowe, na których uprawiają ryż i inne zboża. Jest tu trochę bananowców. Śpimy (choć nie w pełni) w miejscowym hoteliku. Przez całą noc miejscowe psy ujadają i gonią się. Za to w dzień leżą jak nieżywe i zbierają siły na noc. Jest gorąco i nie sposób spać przy zamkniętym oknie. Nazajutrz 14 kwietnia – niedziela – nepalski nowy rok 2070. Funkcjonuje tu równolegle kilka kalendarzy. Można się pogubić. Wyruszamy o 8.00. Po 2 godzinach kończy się droga jezdna i zaczyna się prawdziwy pieszy trakt. Bywa wąsko. Karawany mułów. Trzeba uważać przy mijaniu się z nimi. Najlepiej stanąć w szerszym miejscu i od strony zbocza. Wtedy na pewno zwierzęta nie zrzucą ze zbocza. Piękna trasa prowadząca trawersem zbocza ze sporymi podejściami. Piękne wodospady. Upał. Po 4 godzinach jesteśmy mocno zmęczeni. Mijamy Lapubesi (884 m n.p.m.), wioskę zasiedloną w większości przez Mongołów. Ciężko jak na pierwszy pełny dzień marszu. Nadrobiliśmy już stracony dzień z Kathmandu. Nocujemy w Machha Khola (869 m n.p.m.). Za nocleg liczą nam podwójnie. Od tej pory pilnujemy się. Rano ruszamy dalej. Widoki jeszcze ładniejsze. Nasz szlak (rzadko) znakowany jest trzema poziomymi czerwonymi kropkami.

Oswajamy się z wiszącymi mostami. Trzeba uważać, przechodząc przy stromych zboczach, na których pasą się owce, kozy i krowy. Mogą niechcący strącać kamienie. Tak więc każdy szelest lub dzwonek powyżej szlaku na to nas uwrażliwia. Mijamy kolejne wioski. Ściany budynków ułożone z kamieni (często bez zaprawy). Budynki kryte płaskimi kamieniami lub blachą falistą obciążoną kamieniami. Niektóre z nich mają ściany drewniane. Największy pożytek cywilizacyjny mieszkańcy tych regionów mają z blachy falistej, z której (szybko, chociaż drogo) tworzą czasem całe domostwa oraz z giętkich rurek winidurkowych, którymi sprowadzają nawet z daleka do swoich siedzib wodę. Jeśli w pobliżu zbudują im małą elektrownię wodną, to i przez kilka godzin okoliczne wioski naprzemiennie mają prąd. Na trasie spotykamy też w niektórych gospodarstwach baterie słoneczne oraz wiatraczki prądotwórcze. Docieramy do Tatopani (990 m n.p.m.). Na mapie oznaczone są tu ciepłe źródła (od tego pochodzi nazwa miejscowości). Byliśmy przygotowani na kąpiel. Zastajemy tam jednak tylko lejącą się wodę z kilku ujęć w ścianie, z których jedno ma temperaturę ok. 50 st. C. Można tu co najwyżej umyć się (pełne rozczarowanie). Dalsza trasa jest dosyć uciążliwa – wciąż po schodkach w górę i w dół. Liczne ekspozycje. Trzeci dzień chodzenia jest zwykle kryzysowy. Dajemy sobie i z tym radę. Dalsze plany zdjęciowe od początku wyprawy mamy zamglone. Czekamy na poprawę pogody w tym zakresie. Spotykamy dziko rosnącą marihuanę. Na nocleg idziemy do Jagat. 16 kwietnia – to już wtorek. Nadal ciepło. Skończyły się wioski Hindusów, a zaczynają się buddyjskie. Przy wejściu do wioski pojawiają się bramy – czorteny z napisami powitalnymi. Idziemy przez dżunglę. Rododendrony jeszcze nie rozkwitły. Kilka razy przechodzimy przez wiszące mosty. Jeden z nich dziurawy z rzuconymi deskami wzdłuż i w poprzek. Trzeba uważać i najlepiej stawiać nogę na 2 deskach jednocześnie. Nie odczuwamy specjalnie dzisiejszej ponad sześciogodzinnej trasy. Przyzwyczajamy się do wysiłku. Ceny rosną. Zaopatrzenie wwożą tu karawanami. Sporo pól uprawnych (ziemniaki, owies, pszenica). Spotykamy napędzane wodą młynki do kukurydzy i młynki modlitewne. Śpimy w Deng (1860 m n.p.m.). Cena noclegu prawie stała ok. 8 zł. Na kolację jemy pyszną pizzę, pierogi momo i pijemy herbatę z imbirem. Rano piękne widoki na sześciotysięczniki, niestety nadal lekko zamglone. Trasa 7-godzinna, pofalowana. Po południu idziemy dżunglą gdzie spotykamy pierwszego rozkwitłego rododendrona. Sesję fotograficzną przerywa chmura i zbliżająca się burza. Ledwo zdążamy do Namrung (2630 m

n.p.m.). Gwałtownie robi się zimno. W pokoju w nocy 4 st. C. Ściany i okna w pokoju dosyć przewiewne. W nocy tradycyjnie budzą nas psy, szumi rzeka, a wczesnym rankiem obsługa kuchenna hałasująca naczyńkami.

Kolejny poranek, tym razem zimny. Dzisiaj do przejścia 900 m w pionie. Po wczorajszej burzy przejrzystość powietrza rośnie i mamy piękne widoki ośnieżonych szczytów. Spotykamy orszak ślubny. Pan młody ubrany w strój mnicha buddyjskiego. Jedzie na niskim koniku. Jest mocno pijany, a po chwili spada z tego żywego pojazdu. Biorą go pod pachy najbliżsi mężczyźni i holują do dalekiego celu, bo w pobliżu nie ma zabudowań. Spotykamy pierwsze jaki. Forsowną trasą dochodzimy wreszcie do Sama (3520 m n.p.m.). Śpimy tu 2 noce. Bardzo zimno. Ubieramy na siebie co się da. Nikt już nie walczy o prysznic (temp ok. zera). Kolację jemy z trudem. Zaczynają się dolegliwości wysokogórskie: biegunka, ból głowy, ośpienie, brakuje powietrza. Na 5000 m n.p.m. tlenu w powietrzu będzie 50% mniej niż na poziomie morza. Planujemy tu dwa noclegi. W ramach aklimatyzacji w wolnym dniu, kto może idzie do klasztoru 500 metrów wyżej. Idzie z nami lama z kluczem. Trudno go dogonić. Buddyści wykazują się dużą pomysłowością w modłach. Poza bezpośrednim kontaktem w świątyniach i zastosowaniu w tym celu młynków modlitewnych przenośnych, wykorzystują też żywioły. Proporczyki i grupy proporców powiewają na wietrze. Młynki modlitewne instalują w czortenach do poruszania ich dłonią, czasem nawet dużych rozmiarów poruszanych oburącz, a bywają także napędzane wiatrem lub wodą. Po drodze spotykamy grube świstaki (po nepalsku – marmot). Do klasztoru docieramy w 6 osób. Lama wyciąga nam materace na trawę. Możemy się na nich wyciągnąć na słońcu. Jest bardzo ciepło. Trzeba być posmarowanym, bo słońce mocno operuje. Wracając odwiedzamy szkołę i oglądamy budynek miejscowej poczty zamkniętej na 4 spusty. W pokojach w nocy ok. 6 st. C i więcej. W nocy pada deszcz. Rano pokazało się słońce. Idziemy 3 godziny do Samdo (3875 m n.p.m.). W połowie drogi zaczyna prószyć śnieg. Mgła. Aklimatyzujemy się. Zimno. Jesteśmy tu około południa. Nie chce nam się jeszcze jeść. Nie ma co tu robić. W jadalni napalą w piecu po zebraniu pewnej kwoty. Kila osób gra w tysiąca, reszta wskakuje do śpiworów. Na tych wysokościach można spać na okrągło (kto nie ma innych dolegliwości). Po 17.00 zjawiamy się w jadalni i zamawiamy coś do jedzenia. Palą w piecyku i doliczą to nam do rachunku. Cena wrzucenia do piecyka kilku suchych bezwonnych placzków jaka przewyższa cenę naszych noclegów. Pierwszy raz w pełni widzimy i fo-

tografujemy dwa wierzchołki Manaslu (8163 m n.p.m.) i Manaslu Nord (7157 m n.p.m.). W nocy znowu napadało trochę śniegu. Idziemy do Dharamsala (4460 m n.p.m.). 4 godziny. Ciągłe pada. Zimno. Spanie tym razem w rozstawionych przez miejscowych namiotach 8 osobowych. Znowu grzejemy się w śpiworach. Nie chce nam się jeść lunchu. Wygrzebujemy się ze śpiworów dopiero na kolację. Czeką nas krótkie spanie do godz. 4.00 w poniedziałek. Jemy wczesne śniadanie. Bierzymy prowiant na długą drogę. Nie ma po drodze żadnych siedzib ludzkich. Trasa kilkunastogodzinna. Ciągłe pada mokry śnieg. Mglisto i pochmurno, bez większej widoczności. Nasza czołówka dostała sygnał, że Ram, najstarszy z naszych tragarzy bardzo źle się czuje, boli go głowa i nie może nieść naszych bagaży. Andrzej wziął jeden z dużych plecaków. Ram dostał mirindę i pastylki glukozowe z kofeiną i to chyba pomogło mu w miarę odzyskać siły. Duży plecak Andrzej niósł dzielnie przez przełęcz Larkya do Bimthang. Ostatni trekkerzy z naszej grupy wchodzi na przełęcz Larkya (5160 m n.p.m.) po 7 godz. marszu. Robimy zdjęcia zbiorowe. Żadnych widoków. Jemy suchy prowiant na stojąco. Na całej trasie nie ma za bardzo gdzie usiąść. Trasa zejściowa zasypana. Inne ekipy (rosyjska – wspinaczkowa, angielsko-amerykańska, hinduska) oglądają się na naszych przewodników. Nasz przewodnik wraz z najmłodszym z tragarzy bezbłędnie wytyczają i torują szlak zejściowy przez punkt 5200 m n.p.m. Szlak lodowy przysypany śniegiem. Sporo wywrotek, także tragarzy. Stromo. Po 2 godz. już lepiej, ale znać daje zmęczenie i fakt, że nie ma tu gdzie przysiąść i odpocząć. Ostatnia grupa dociera do Bimthang (3590 m n.p.m.) na ostatnich nogach po 13 godz. od startu po zmroku. Można tu zamówić odpłatnie ciepłą wodę do mycia, co skwapliwie czynimy. Biesiadujemy w kuchni u gospodarzy obserwując przygotowanie nam posiłku, w co ochoczo włączają się nasi tragarze. Kuchnie tutejsze nie mają rury odprowadzającej dym. Wystarczą dziury pod powalą i dym nie roznosi się po izbie. Mieszkańcy i tragarze siedzą na podłodze wokół paleniska. My ogorzali, nieco dalej w drugim rzędzie na podwyższeniu czekamy na posiłek. Pijemy gorącą herbatę a także chłodne, zasłużone, chociaż okropnie drogie piwo. Kolejnego dnia po przebudzeniu okazuje się, że wczorajszy dzień pochmurny zmylił nas na tyle, że nie posmarowaliśmy się kremem z filtrem, co okazało się brzemienne w skutkach. Słońce przebijało się do nas w sposób niezauważalny. Panie boją się pierwsze wyjść z pokoi i spojrzeć w lustro, a także poddać się oglądowi pozostałym uczestnikom wyprawy. Twarze czerwone i popuchnięte (jedyne

plus to całkowity zanik zmarszczek). Ujawniają się coraz liczniejsze bąble. Od promieni odbitych od śniegu opalona jest też szyja pod brodą. Każdy ma jakieś obrażenia, nawet tragarze, chociaż oni w mniejszej skali. Z naszej grupy obronną ręką wyszedł z tego jedynie Andrzej. Jak on to zrobił? Po śniadaniu idziemy do Dharapani (1963 m n.p.m. – tu wkroczymy na szlak wokół Annapurny). Przepiękna trasa z widokiem na ośnieżone Manaslu, Larkya oraz Annapurnę II. Słoneczna, prawie bezchmurna pogoda. Z terenów zimowych nagle wkraczamy w późną wiosnę. Na długim odcinku trasy las kwitnących różnokolorowych rododendronów powoduje, że przez 2 godziny robimy zdjęcia, co się poważnie odbija na czasie naszego całego przejścia. Nie można jednak tego odpuścić. Dochodzimy do Dharapani po kilkunastu godzinach, już po ciemku. Wychodzą po nas tragarze, bo sami byśmy nie trafili do naszego lokum. Jest tu sporo hotelików i to nie przy jednej drodze. Po dwudniowym maratonie siły są nadwyżężone. Nasilają się objawy poparzenia słonecznego. Opuchlizna nie ustępuje. 24 kwietnia – środa – ostatni pieszy etap 7 godzinny. Umęczeni tragarze z naszymi dużymi bagażami zjeżdżają transportem kołowym 4x4, dziurawą drogą, niedawno wyrąbaną w skale. Kierowca często wykonuje liczne ewolucje

przy mijaniu. Droga przeprowadzona jest dosyć ekstremalnie. Obserwujemy ją z drugiego brzegu rzeki, gdzie przebiega nasz szlak pieszy. Łądujemy w przytulnym hoteliku w Syange (1100 m n.p.m.). Omawiamy sprawy końcowe – napiwki dla tragarzy i przewodników. Wręczamy napiwki i żegnamy się oficjalnie z całą naszą miejscową ekipą. Przy lokalnej muzyce wspólne tańce. Nepalczycy śpiewają swoje piosenki. Pełna integracja. My również inicjujemy nieliczne nasze piosenki o długości zwykle nieprzekraczającej 1 zwrotki. Chociaż i dalsze zwrotki można improwizować, przecież oni i tak nie znają naszego języka. Następnego ranka jedziemy koszmarną drogą 30 km ponad 2 godz. do Besisahar. Na tych drogach jeśli spadnie gład, jest on uparczywie omijany, a nie usuwany, chyba że uniemożliwia przejazd. Nie potrafimy tego wytłumaczyć. Przesiadamy się na autobus z naszego biura. Teraz już asfaltem „tylko” 7 godzin do Kathmandu z przerwą posiłkową na „dalbat” (ryż z ostrymi sosami i smażonymi warzywami nie mniej ostrymi). Nepalczycy jedzą to 3 razy dziennie. Umęczeni dojeżdżamy do naszego buddyjskiego hotelu. Wreszcie gorący prysznic. Wita nas Marcel, nasz nowy Polski przyjaciel mieszkający przez większą część roku w tym hotelu. Jest buddystą na wyższym stopniu wtajemni-

czenia i traktowany przez miejscowych jak Nepalczyk. Idziemy do przytulnej knajpki, gdzie posilamy się dobrym jedzeniem za małe pieniądze. 26 kwietnia – piątek – ostatni dzień w Nepalu. Zwiędzamy z naszym przewodnikiem Durbar Square, Patan. Robimy ostatnie zakupy. Idziemy z przewodnikiem na pożegnalny posiłek. Większość z nas odlatuje o 21.00, pozostali dwie godziny później. Na całym lotnisku przy odprawie gaśnie światło. Po dwóch minutach włączają ponownie. Tylko na nas robi to wrażenie.

Uczestnicy wyprawy wokół Manaslu:

Tomek Idczak – Siemianowice Śląskie, Irena i Stefan Sytniewscy – Częstochowa, Ania i Tomek Kidawa – Konopiska, Ula Kidawa – Dębica, Andrzej Dudek – Siemianowice Śląskie, Małgosia Muszyńska – Sosnowiec, Kasia i Olek Bodora – Gliwice

Biuro organizujące trekking:

Adventure International – www.adventureinternational.com
Devi Pandey 000977-1-4418651, 4418527,
kom.: +977 9851072584

Przewodnicy:

Durga Neupane – e-mail: durga_2neupane@yahoo.com
Sonam Tasi Scherpa – e-mail: sonam@yorkshireyak.com.np



Przełęcz Larkkya (5160 m n.p.m.) zdobyta



Pejzaż himalajski

Jan Ptasigórski i czarodziejski flet, czyli w kręgu kłodzkich legend

BARTŁOMIEJ GRZEGORZ SALA

(O/Kraków)

Pomiędzy Śląskiem a Czechami i Morawami potężna ręka natury podniosła przed wiekami masywny wał Sudetów. Ukoronowany Karkonoszami, wydzwignięty ku niebiosom, stał się łącznikiem ludów, narodów i języków. Na jego sto-

kach spotykały się kultura polska, czeska i niemiecka, tworząc wśród łagodnych wzgórz i stromych polodowcowych zboczy cały barwny świat symboli i znaczeń, a pośród wyrastających ponad bogatymi miastami i cichymi wioskami zalesionych i ozdobionych skalnymi grupami górskich krain ukryły się tajemnicze siły z ludowych legend i klechd. Najstyn-

niejszą z nich był sam potężny i kapryśny karkonoski Duch Gór, zwany m.in. Liczyrzepą, Karkonoszem, Krakonošem i Rübezahlem, niepodzielnie władający królestwem wznoszącej się na 1603 m Śnieżki. Pośród wyniesień Wysokiego Jesionika zamieszkał z kolei jego swoisty odpowiednik – Pradziad (czes. Praděd). Magiczne siły towarzyszą też na każdym

kroku wędrowcowi przemierzającemu Masyw Ślęży – niezwykle naturalne sanktuarium pradawnych kultów ze sławnymi rzeźbami, których rzeczywisty charakter spowija mgła tajemnicy.

Miała swoje legendarne postaci i ziemia kłodzka – w całości okolony górami mikroświat pomiędzy Śląskiem a Czechami. Wielu twierdziło, że do owej odciętej od reszty świata górskimi grzbieciami krainy zapuszczali się pospołu i Liczyrzepa, i Pradziad, o czym świadczyć ma m.in. nazwa jednej ze skałek króla Gór Stołowych – Szczelińca Wielkiego (919 m). Jednak kłodzkie opowieści, czasem istotnie ciepłe niczym dobroduszny duch Wysokiego Jesionika, kiedy indziej niepokojące jak władca Karkonoszy, jeszcze przy innej okazji ponure jak pobliskie miasteczko Frankenstein (obecnie Żąbkowice Śląskie!) lub pełne szlachetnej wzniosłości niczym czczona na wierzchołku Iglicznej (845 m) Matka Boska Śnieżna, posiadały i własny, indywidualny charakter, niepowtarzalny jak otoczona górami kraina pogranicza.

Legenda stawały się tutaj i postaci z krwi i kości, jak słynni rycerze-rozbójnicy z zamków Homole (niem. Landfried) i Szczerba (niem. Schnallenstein) czy sławny zbójnik Ledřiček, zwany „orlickim Janosikiem”, który ukrywając się w jaskiniach Gór Orlickich, poznał ponoć tajniki odporności na zranienia i niewidzialności...

„Kłodzkim Liczyrzepą” nazywano wszakże Henryka (Heinricha) Rübartscha, Niemca o czeskich korzeniach, którego niezwykle osobowość odcisnęła się mocno na obliczu tych samych Gór Orlickich (Adlergebirge) w latach jego barwnego życia, ograniczonego przez nieubłagany czas datami 1852 i 1930 r. Niezrównany pionier orlickiej turystyki – z którym na ziemi kłodzkiej równać się mogli jedynie Franciszek (Franz) Pabel z Gór Stołowych i „urzędująca” w Masywie Śnieżnika księżna Marianna Orańska – oraz sudeckiego narciarstwa, przemierzający zbocza na bukowych „deskach” z Norwegii, zasłynął także jako niezrównany gawędziarz. Z wykształcenia był browarnikiem (stąd pewnie sympatia do ludzi i talent do zajmujących opowieści...), a w Zieleńcu, znanym podówczas jako... Grunwald, prowadził swoją gospodę, stamtąd zaś równie chętnie prowadził wycieczki na wznoszącą się na 1084 m Orlicę. Za jego sprawą na ukochanym szczycie pojawiło się odpowiednio wycięte drzewo, z którego wędrowcy mogli podziwiać panoramę okolic, później zaś wieża widokowa. Obecność tego typu udogodnień – wraz z udostępniającymi wierzchołek ścieżkami i powstałym w 1883 r. schroniskiem – wywoływała zazdrość i niechęć pobliskich Dusznik Zdroju (podówczas funkcjonujących pod nazwą Bad Reinerz), co z kolei

zaowocowało powtarzanymi przez „nie-widzialną rękę rynku” dewastacjami budynków oraz wydanym przez powiatowe władze zakazem renowacji szybko starzejącej się wieży. Już więc wtedy rozliczne układy i układziki nabierały znaczenia, niechybnie zapowiadając erę demokracji parlamentarnej... „Kłodzki Liczyrzepa” jednak nigdy nie rezygnował i gdy po niemieckiej stronie granicy jego inicjatywy natrafiały na opór twardejszy od sudeckich skał, zjednał sobie arystokratę zza górskiej rubieży. Austriacki książę Collaredo-Mansfeld chętnie wyposażył Rübartscha we wspomniane już narty, a nade wszystko w zgodę na budowę nowej wieży po swojej stronie Orlicy. U progu XX stulecia „Stary z Gór” ostatecznie porzucił Grunwald dla królowej Gór Orlickich, szczyt ozdobiło nowe schronisko, a w 1922 r. trzecia już z kolei wieża. Gdy zaś nasiliły się konflikty narodowościowe na nowej niemiecko-czechosłowackiej granicy, ludzkie dusze zaś dały się opętać nacjonalistycznej paranoi, od której nie wolna była i turystyka, siedemdziesięcioletni „kłodzki Liczyrzepa” stworzył w swoim królestwie na Orlicy ośrodek łączący germańskich i słowiańskich wielbicieli gór, wbrew uprzedzeniom i bieżącym modom jednocząc zwaśnione narody w tym magicznym zakątku, ozdobionym sztucznie zasadzonymi krzewami kosodrzewiny. Czyżby „wyprzedzał swoją epokę”? Nic z tych rzeczy! Albowiem ludzie, którzy dziś ochoczo obnoszą się z sympatią do innych nacji pozostają zazwyczaj nie chcącymi „pozostawać w tyle”, bezmyślnymi naśladowcami popularnych trendów, jakie tylko pozwalają utrzymać im się w głównym nurcie aktualnych ideologii. I gdyby żyli w czasach rozhułanych nacjonalizmów, pewnie z równym zaangażowaniem rzuciliby kamieniami w przedstawicieli „wrażego” plemienia, a może stanowiliby nawet awangardę rasistowskich heydrichad. Tak, moi drodzy: raz w modzie jest nacjonalizm, raz komunizm, innym razem ostentacyjna sympatia dla innych nacji i „tolerancja” dla „inności” wszelakich, ale ci którzy w zależności od aktualnych prądów podążają za „mądrością chwili” zawsze wyglądają tak samo, a gdyby trafili na okres hitlerowski pewnikiem głosiliby wielkość „Tysiącletniej Rzeszy” i pochwalę „lepszego jutra”, jutra bez Żydów, Romów i może Słowian... Rübartsch za modą nie podążał, lecz posiadał całkowicie autentyczną, przepełniającą serce sympatię (a to znacznie więcej, niż pełna obojętności „tolerancja”!) do ludzi, niezależnie od ich etnicznej i narodowej przynależności, której dowiódł w czasach, gdy nie było to wcale takie popularne... I pewnie w marcu 1930 r. za dostojnym „Starym z Gór”, za legendarnym „kłodzkim Liczyrzepą” płakały drzewa ozdabiające sudeckie stoki po obu stronach granicy...

Obok jednak postaci autentycznych lub tylko przerobionych przez legendę, takich jak sprzeniewierzający się rycerskiemu etosowi raubritterzy, zbójnicy pokroju Ledřička i gawędziarze mniej lub bardziej podobni Henrykowi Rübartschowi, górskie bezdroża ziemi kłodzkiej zasiedlały i siły całkowicie metafizyczne, mogące iść w konkury z mieszkańcami zbocz Masywu Ślęży oraz duchami Karkonoszy i Wysokiego Jesionika.

Nieomal symbolem Gór Bystrzyckich (Habelschwerdter Gebirge) stała się niezwykle statua Strażnika Wieczności, zwanego też Kamiennym lub Szarym Człowiekiem. Tajemniczy Grauer Mann stanął na zboczu Anielskiej Kopy (871 m) co najmniej pod koniec XVIII stulecia, a charakterystyczna postać mężczyzny w kapeluszu na dobre odnowiona została w 1872 r. Ukryty w ostępach sudeckiego lasu Strażnik Wieczności, patron młodych kochanków (no przecież...), miał odpowiadać za śmierć odnalezionego ze skrzyżnym karkiem pyszałkowatego kamieniarza Józefa (Josefa) Brunnera z Wójtowic (Voigtsdorf) i szydzącego z dostojnego posagu leśniczego (ten miał wykonać samobójczy strzał do lustra, w którym ukazał się Kamienny Człowiek) oraz doprowadzić do przyznania się do winy dzieciobójczyni, gdy degeneratce z Huty (Hüttengut) obrzydło niestanne prześladowanie przez nękającego w imię sprawiedliwości „kapelusznika”...

Lecz najbardziej tajemniczą, niepokojącą i upiorną postacią legend ziemi kłodzkiej (wszak gród Frankenstein leżał już po drugiej stronie Gór Bardzkich) bez wątplenia pozostaje niejaki Vogelhannes, czyli Jan Ptasiegórski. Wszak wznoszący się na 869 m Vogelberg to przecież Ptasia Góra, dzisiaj częściej zresztą nazywana Smolną. Rodak Strażnika Wieczności z Gór Bystrzyckich miał być żyjącym w XVII stuleciu rolnikiem spod Altheide, czyli świetnie dzisiaj znanej Polanicy Zdroju. Chłopski żywot w rytm prac rolnych u stóp Ptasiej Góry nie odpowiadał jednak ekscentrycznemu Janowi. W końcu – dzięki pokaźnemu spadkowi – „wy-rwał się do miasta” i zakupił karczmę przy rynku w samym Kłodzku. Stolica sławnego hrabstwa kłodzkiego szybko poznała rogatą duszę nieokrzesanego dorobkiewicza (jakże to dziś aktualne...). W pierwszym rzędzie Vogelhannes, nazwany rychło Hanysiem, dał się we znaki swoim pracownikom, którzy znosić musieli niestanne obelgi, a nierzadko i targanie za uszy. Na parweniuszu spod Ptasiej Góry wyznała się w końcu także klientela, nągminnie padająca ofiarą oszustw karczmarsko-sknerskich oraz wszczynanych przezeń burd. Cóż za różnica w porównaniu z dobrodusznym browarnikiem z Grunwaldu... Ale wkrótce Hanys stał się sławnym w całym grodzie nad Nysą. Hrabowski

zaprasza w dniach 20–22 września 2013 r. do Żegiestowa-Zdroju na

XXVIII Ogólnopolskie Spotkanie Oddziałów PTT – XII Dni Gór PTT

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie – Oddział „Beskid” w Nowym Sączu zaprasza na XXVIII Ogólnopolskie Spotkanie Oddziałów PTT – XII Dni Gór PTT, które odbędą się w dniach 20–22 września 2013 r. pod hasłem „Babie Lato w Beskidzie Sądeckim” z bazą w Żegiestowie-Zdroju. Nasze spotkanie będzie zarazem współtworzyć otoczkę Festiwalu Piosenki Turystycznej „Babie Lato 2013”, którego organizatorem głównym jest Stowarzyszenie Przyjaciół Żegiestowa.

Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem? Spotkajmy się jak najliczniej w Żegiestowie Wsi przy wspólnym ognisku i piosence! Atrakcją spotkania będzie

możliwość udziału w koncertach konkursowych i towarzyszących Międzynarodowemu Turystycznemu Festiwalowi Piosenki „BABIE LATO 2013” w dniach 20–22 września 2013 na „Łopacie Polskiej” w Żegiestowie Zdroju (www.babelato.zegiestow.pl).

Proponujemy kilka tras turystycznych na 20–21 września 2013 r. (piątek–sobota), a w sobotę w godz. 15–20 zapraszamy na wspólne spotkanie. W niedzielę 22 września proponujemy wycieczkę do cerkwi w Powroźniku (wpisana na listę UNESCO) i w pasmo Zimnego Dubnego.

Trasy dwudniowe (20–21.09):

TRASA A: Maciejowa (szkoła) – Łabowska Hala (nocleg) – Runek – Pusta Wielka – Żegiestów Zdrój

TRASA B: Wierchomla Wielka – Schronisko „Nad Wierchomlą” – Żegiestów Zdrój (wersja krótsza i łatwiejsza)

Trasy jednodniowe (21.09):

TRASA C: Wierchomla Wielka – Pusta Wielka – Żegiestów Zdrój

TRASA D: Muszyna – Szczawnik – Pusta Wielka – Żegiestów Zdrój

TRASA E: Cirić – Magura Kurczyńska – Petrova – Muszyna

Informacje o zakwaterowaniu:

Możliwość noclegu na polu namiotowym na Łopacie Polskiej (21/22.09.2013) lub w remizie strażackiej w Żegiestowie Zdroju (21/22.09.2013) oraz w schroniskach na Łabowskiej Hali lub Nad Wierchomlą.

Prosimy o własne rezerwacje i opłaty z tym związane (20/21.09.2013).

Możliwość organizacji noclegu we własnym zakresie.

Dodatkowe informacje i zgłoszenia:

Organizatorzy proszą o zgłaszanie grup drogą mailową do Wojciecha Szaroty (rysyy@wp.pl; szarota@ptt.org.pl) lub Łukasza Musiała (atrium1@op.pl).

Głaz pozostawał scenerią nieustannych pijackich wybryków Vogelhannesa, a po zaułkach miasta niósł się jego pełen perfidii chichot, zupełnie nie przypominający ludzkiego śmiechu. Zawadiaka z Gór Bystrzyckich bez końca męczył i niepokoił pocziwych kłodzkich mieszczan, którzy obawiali się nawet o ratuszową wieżę, zagrożoną – jak sądzono – złośliwym rechetem Jana. Był jednak jeden sposób na uspokojenie gwałtownika: muzyka fletu. Gdy tylko podпиты awanturnik słyszał jego dźwięki, w przedziwny sposób natychmiast się uspokajał.

Ale problemy z Vogelhannensem na dobre zaczęły się dopiero po jego śmierci. Już pierwsza noc przyniosła upiorny festiwal zniszczenia w karczmie zmarłego: otwierające się same beczki zalały piwnice, pękały szyby, a dzbany spadały z półek. Pogrzeb urządzono więc w pośpiechu następnego ranka, tym razem jednak nadnaturalnie ciężka trumna upuszczona została przez zmęczonych mężczyzn, a w jej wnętrzu odnaleziono

jedynie kamienie... Dokoła zaś rozległ się świetnie pamiętany chichot, a niektórzy zobaczyli ponoć na pobliskiej rynnice małego potworka z butelką trunku...

Głazy pochowano, ale od tej pory cmentarz stał się ponurą scenografią przerażających wybryków Hanysa. Gdy minął rok upiornych harców przebrała się miarka i w obecności znachora-egzorcysty z Głuszycy odważono się podnieść wieko trumny, która nie przyniosła jak dotąd wiecznego spoczynku. W jej wnętrzu oczom zebranych ukazało się nienaruszone ciało uciążliwego sąsiada, a po nacięciu tegoż obficie wytrysnęła krew. Postanowiono zatem wywieźć zwłoki na Ptasiej Górę. Tutaj drogę wskazał biały zając, za którym ponury kondukt podążył późniejszą Zajęczą Ścieżką. Wreszcie na Ptasiej Łące dokonano posępnego rytuału: otoczeni tłumem gapiów inkwizytor i grabarz złożyli doczesne szczątki Vogelhannesa w sudeckiej ziemi, a trzynaście podstarzałych kurtyzan obeszło obszar wyznaczony dla upiora. Mieszkańcy

Kłodzka mogli odtąd spać spokojnie, lecz biada tym, którzy wędrując przez Góry Bystrzyckie ośmieli się naruszyć miejsce jego spoczynku! A jeśli w rejonie Smolnej usłyszymy kiedyś wygrywaną na flecie muzykę – trzeba się mieć na baczności! Albowiem spotkanie z Janem Ptasioogórskim jeszcze nikomu nie wyszło na dobre...

Legendy i tradycje ziemi kłodzkiej – może mniej znane niż opowieści z innych regionów – potrafią zachwycać, potrafią też przerażać, podobnie jak Fryderyka Szopena przerażała ongiś orkiestra zdrojowa z Bad Reinerz... Bo mimo wspaniałych festiwali szopenowskich i moniuszkowskich Dusznik Zdroju i Kudowy Zdroju, niepokojące dźwięki fletu na stokach Smolnej dowodzą, że muzyka nie zawsze łagodzi obyczaje... Ważne, że wzbudza emocje. I ten cały zestaw nienazwanych odczuć, fascynujących jak świat kłodzkich legend...

O kłodzkich legendach zob. m.in. W. Brygier, T. Dudziak, *Ziemia kłodzka*, Pruszków 2010.

WYDAWCA: ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

REDAKCJA: SZYMON BARON, BARBARA MORAWSKA-NOWAK

SKŁAD: JUSTYNA RYBKA

ADRES REDAKCJI: UL. KONARSKIEGO 21/5, 30-049 KRAKÓW ♦ E-MAIL: PRACOWNIA@PTT.ORG.PL ♦ TEL.: 12 634-05-89

WERSJA ELEKTRONICZNA „CO SŁYCHAĆ?” JEST DOSTĘPNA NA STRONIE: [HTTP://WWW.PTT.ORG.PL](http://WWW.PTT.ORG.PL)